ROK DRUGI.

№ 16.

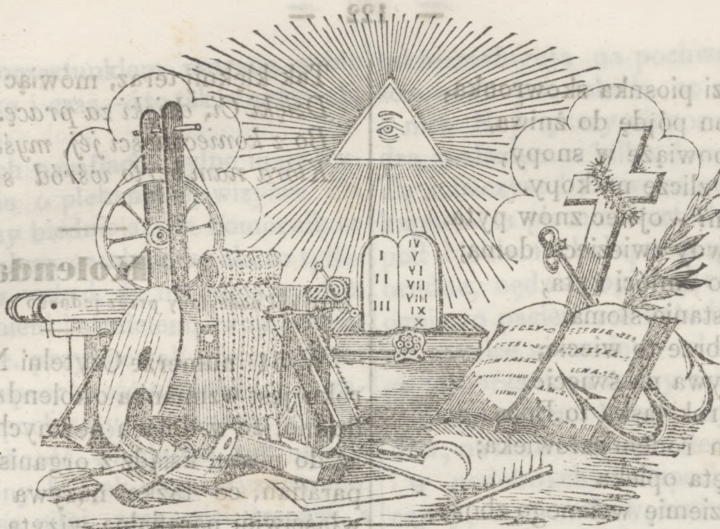
Warszawa

Dnia 7 (19) Kwietnia

1857.

Niedziela

1sza po WIELKIEJ NOCY.



KANTOR GŁÓWNY W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Nie sądź się być opuszczonym zupełnie, choć ześlę ci na czas strapienie jakowe, lub umknę pożądanej pociechy; tak bowiem przechodzi się do Królestwa Niebieskiego. (O nasl. Chr. K. 3. R. 30)

Kasia żniwiarka.

—

Wróciła Kasia z sierpem od żniwa,
Na progu sobie siadła w komorze:
Znój jéj perlisty po licu spływa,
Skłoniła złotą główkę nieboże
I patrzy sobie po Bożym świecie,
Na błękit nieba i sadku kwiecie.
Patrzy— aż oto na krzu jabłoni
Przysiadła jakaś ptaszyna szara;
Pstrą muszkę goni, piosenkę dzwoni,
Głusząc szmer listków i brzęk komara,
A dziewczę słucha i mówi sobie:
— Cięźéj ptaszyno mnie, niźli tobie!...
Nie zbierasz latem, wiosną nie siejesz,
O szatę, chatę nie łamiesz głowy,
W złotym promieniu słońca się grzejesz,
Spoczywasz w wonnym cieniu dąbrowy;
Pieśń twoją pracą, pieśń twym pacierzem,
W błękitach lekkiém żeglujesz pierzem.
Lecz nam ptaszyno! nie tak się dzieje;
Nam ludziom ciężko pracować trzeba,
I pot się krwawy z czoła poleje,
Nim stanie kąsek czarnego chleba —
O wszystko praca, o wszystko troska,
Nic gotowego nie da dłoń Boska!..

II.

Złociste słońce zgasło za lasem,
Na ziemię pada rosa perłowa,
W sadku piosenka zcichła tymczasem,
Spiewak na nocleg w prądki się chowa,
A dziewczę jeszcze powtarza sobie:
—Cięźéj ptaszyno mnie, niźli tobie!...
Ale na polu skończona praca.
Drewniane wrota skrzypnęły w ciszy,
Sędziwy ojciec do chaty wraca,
Jedynéj swojéj słówko dosłyszy,
I dłoń jéj biorąc w grube swe ręce,
Tak cichym głosem mówi Kasieńce:
—Widzisz dziewczyno gwiazdy na niebie?
Widzisz księżyca światłość promienną?
Choć oczy zamkniesz, one dla ciebie
Będą nad ziemią świeciły senną.
Będą świeciły, bo Bóg im każe,
By nad snem twoim trzymały straże.
— Tak! tak! tatulu, dziewczę przerywa,
Aż ich zluzuje złoty blask słonka;

Wtedy mnie zbudzi piosnka skowronka,
Z sierpem na zagon pójdę do żniwa,
Złożę na garście, powiążę w snopy,
Pod wieczór sobie zliczę na kopy.
—A potem, potem? — ojciec znów pyta.
— Potem, jak zawdy zwieziecie doma;
Na chleb się ziarno omłóci żyta,
A dla bydlątek zostanie słoma.
Toż wy tatulu! dobrze to wiecie,
Co rok jednako bywa na świecie.
—Tak dziecię! co rok łaska to Boża
Czuwa nad słabym rodem człowieka;
Dobroci Jego święta opieka
Strzeże źdźbło w ziemię wsianego zboża,
Wśród mrozów puchem śniegu okrywa,
Wiosennem ciepłem lekko ogrzéwa;
Przezeń to deszczyk i krople rosy
Odwilżą kiełek, zanim omdleje,
Przezeń słoneczko ozłaca kłosy,
Aż zdrowe, jędrne ziarnko dojrzeje.
I wszystko takim porządkiem idzie,
Co nam w téj ziemskiéj potrzebne biédzie.
Więc pomyśl sobie: opiekun taki
Musiał ukochać człowiecze plemię.
—Przecież, gdy pierzem przyodział ptaki,
Nas bez odzienia zesłał na ziemię!
Zamiast nad ziarnkiem czuwać troskliwie,
Mógł chleb gotowy rozsiać po niwie;
I gdy dąb z liściem z ziemi wyrasta,
Dlaczego chata wyrość nie może?
Czemu len musi uprząść niewiasta,
By z niego płótno miała nieboże?
Czemu, gdy dobry i wszechmogący,
Czoła nam skazał na znój gorący?..
—Czemu?— niebaczna! *Mądrość to święta*
Miłość swą w tajnię pracy złożyła.
Pracy potęga, pracy to siła
Wyniosła ludzkość ponad zwierzęta;
Bo z konieczności pracy myśl wstała,
Która nam berło wśród stworzeń dała!..
Rzuć oto okiem: czarne te woły
Jak straszne rogi mają na czole!
Przecież z snopkami do méj stodoły
Mogło je przywieść lada pacholę;
Bo musząc orać, jarzmo zrobiłem,
I słaby siłę pracą podbiłem.
Błahy to przykład, lecz takim torem
Poszły ludzkości zwycięzkie losy.
Więc; jak przed chwilą umysłem chorym
Śmiałaś o pracę skarżyć niebiosy,
Tak klęknij teraz, mówiąc w pokorze:
Dzięki Ci, dzięki za pracę, Boże!
Bo z konieczności jéj, myśl powstała,
Która nam berło wśród stworzeń dała.

Kolenda.

(Artykuł nadesłany przez jednego z proboszczów wiejskich).

W 51 numerze Czytelni Niedzielnéj zeszłego roku jest wzmianka o kolendzie, i jest tam powiedziano, że w dniach pewnych od Nowego roku aż do postu, ksiądz z organistą obchodzi swoich parafian, co tażke nazywa się kolendą, albo właściwiéj parafialną wizytą.

W tym właśnie czasie, w bieżącym roku 1857 odbyłem taką wizytę parafialną w parafii Kunice.

Ważny to religijny obrzęd dla parafian, zwłaszcza po wsiach mieszkających. Gospodynie starają się dom oczyścić, uporządkować, wybielić; wszędzie też zastać można stoły, ławki i stołki przykryte biało, na stole woda święcona i kropidło. Dzieci i domownicy niecierpliwie oczekują księdza, bo długo przedtem uczyły się pacierza i katechizmu, a nagana w razie nieumiejętności jest wielkim dla nich wstydem i karą, pochwała zaś, a jeszcze dany jaki upominek, czy to para groszy, czy obrazek jaki, jest wielką dla nich nagrodą i zachętą. A jakże to kilka słów powiedzianych w domu przez plebana, na długo im zostanie pamiętne, i z ust do ust, i z domu do domu przechodzi!

Poczciwi nasi wieśniacy ten obrząd religijny w wielkiem mają poszanowaniu. Wizyta plebana w komży, w stule z krzyżem w ręku, przy odgłosie dzwonka przypomina im samego Chrystusa Pana naszego Zbawiciela, jak po ziemi chodził, a po domach pokój, błogosławieństwo rozdawał obok nauki swojéj Boskiéj—bo i pasterz tęż samą naukę przypomina im ciągle, i wita ich w domach słowami Chrystusa Pana:

—Pokój wam tu mieszkającym — błogosławieństwo Boże niechaj zostanie z wami!

Szkoda tylko, że dziedzice i wójci gmin miejscowi nie zabronią po niektórych wsiach tego imienia kolendy niejako poniewierać i jéj znaczenia i przeznaczenia zmieniać, gdzie szynkarze, karbowe, ekonomowe, a nawet pachciarki chodzą po domach z wódką, częstują gospodarzów i gospodynie, aby wyłudzić od nich datek jaki, tam konopi, tu jajek parę, owdzie zboża, a

wymową swoją, poczęstunkiem potrafią sobie wynagrodzić i wódkę i czas—i to także nazywają kolendą.

Ztąd w niektórych parafiach mylne mają wyobrażenie parafianie o plebańskiéj wizycie; dla tego niektóre domy biedniejszych komorników i komorniczek zastałem zamknięte, ale to tylko w jednéj wsi, przez wstyd, że nie mają co dać, jak mówiły. Objaśnieni i ośmieleni, swoje lepianki otwierali wszędzie, przyjmowali mię z sercem, a ja miałem czas i sposobność udzielić im to rady, to zachęty, to pochwały, to nagany.

Widoczną zamożność widziałem tak u gospodarzy kolonialnych, jak pańszczyznianych, gdzie gospodarze są pilni, pracowici, trzeźwi, a gospodynie lubiące porządek, zabiegliwe i gospodarne. Ze względu zaś widocznego porządku, mile podobającego się oku, zasługują na wspomnienie domy:

Z kolonii Szadkowice: *Józefa Podgórskiego*, *Wojciecha Dąbrowskiego*, *Kacpra Bugaja*, *Jana Benońskiego*.—
z kolonii Trojanów: *Jana Białowąsa*, *Mateusza Białowąsa*, *Szczepana Pawlaka*.
z wsi pańszczyznianéj Brzustowka: *Tomasza Bernackiego*, *Łukasza Krawczyka*.
z wsi pańszczyznianéj Gawrony: *Wawrzyńca Janeckiego*, *Jana Zielińskiego*.
z wsi pań. Kamień: *Antoniego Pękarza*,
z wsi pań. Kunice: *Jana Wereszki*, *Bartłomieja Franasa*, *Marcina Kabały*.

W domach tych nie zobaczysz beczki z kapustą, kartofli, albo przegniłych plew pod łóżkiem; na to, są oddzielne schowania; nie zobaczysz królików podkopujących przysienie, zanieczyszczających powietrze w izbie nieprzyjemną i niezdrową wonią; podłogi suche, choć nie wszędzie z tarcic, ale z ubitéj gliny; w sieniach i przed domami niema gnoju, co na wiosnę najwięcéj szkodzi zdrowiu; obory i chlewy oddalone od mieszkania—słowem, te domy całéj parafii służyć mogą za wzór i przykład pod każdym względem. Za to też i dzieci i domownicy zdrowi, czerstwi, że aż miło spojrzeć po nich, ubranych w białe i czyste odzienia.

Jest wiele w parafii jeszcze takich domów, które także zasługują na pochwałę; lecz na nieszczęście wiele jest takich, co serce boli wspomnieć o nich. Największy nieporządek połączony z nędzą znalazłem w kilku domach we wsi Brzustów. Tu zobaczysz i krowę na gnoju i cielęta w izbach; kapusta za piecem, kartofle i przegniłe chwasty pod łóżkiem, chałupa okopcona, mokro, dzieci brudne, nędzne, opiekające się na kominie przy ogniu; o pacierz ani katechizm ich nie pytaj, bo ich rodzice nie umieją—słowem, trudno większego nieporządku i nędzy sobie wystawić.

Podziwiałem lepszy byt i porządek u sąsiadów, na takim kawałku ziemi jak i tamci osiadłych i w podobnych chałupach—dochodziłem przyczyny, a po rozważeniu przekonałem się, iż prawie wszyscy sami są sprawcami swojej nędzy i złéj doli. Pijaństwo, próżniactwo, lenistwo, niechęć do zarobków, nierzetelność w robocie, kradzieże, robienie szkód w łąkach i zbożach; u służących częste zmiany miejsca, niewierność i tym podobne wady są powodem, iż zniechęcają ku sobie panów i sąsiadów; sami sobie oddani, zapominają o Bogu, o duszy swojej, pędząc biedne i godne litości życie. A pracowity, rzetelny i poczciwy człowiek wszędzie znajdzie pomoc, i w chorobie i w nieszczęściu i nie może tak upaść.

W rozmowach z włościanami pochwaliłem tych, którzy pracowitością i zabiegliwością postawili się w możności dorastające dzieci wyposażyć, przez umieszczenie ich na oddzielnych gospodarstwach, i pokazałem na przykładzie, jak dzieląc się na jednem gospodarstwie, zamożność się zmniejsza i nędza do domów zakrada. Tem więcej pochwaliłem tych, co mając kilku synów, niektórych na rzemieślników sposobią. Dlaczegoż to w każdéj wsi większej nie mógłby być stolarz, bednarz, szewc, kowal, kołodziej, krawiec, ze swoich wyuczony w jakiem mieście, i u swoich nazad osiadły? Gospodarze nie marnowaliby tyle czasu jak teraz, gdy chodzić muszą o mil parę nieraz do rzemieślnika, prosić się z robotą, a i tak często zawiedzeni, doznają przez to opuszczenia w robocie.

Dziwna rzecz, a jednak prawdziwa, że czem wieś biedniejsza, tem lepiej propinacya odchodzi, a w dnie powszednie karczma zawsze pełna; czem wieś zamożniejsza, tem mniéj ujrzysz gospodarzy w karczmie. Prosta to bardzo rzecz—gospodarze, co zamiast roboty, marnują czas,

zdrowie i pieniądze w karczmie, o zamożność niedbają, żyją tylko z dnia na dzień; gospodynie podochocone w karczmie zajmują się obmową, kłótniami, a nieporządkiem i gospodarstwem domowem. Po przepiciu trzeba się przespać, po przespaniu klin klinem wybić, bo jakoś ckliwo. Godzina za godziną, dzień za dniem schodzi, tymczasem nielad, nieporządek i nędza ściele sobie w chałupie gniazda. Pracowity zaś i trzeźwy gospodarz ciągle czuwa poza domem, żona gospodarzy w domu, a czasu nigdy im się nie okroi na bałamuctwo i karczemną zabawę.

Takie uwagi i zdania były przedmiotem rozmów moich z parafianami podczas wizyty plebańskiej; że zaś w parafii mojej kilkanaście jest domów takich włościan, w których czytają Czytelnię Niedzielną, odmieniając u mnie co Niedziela numera, proszę, aby i to dla przykładu i nauki mogło być dla czytających drukowane.

Jakie życie, taka śmierć.

Obrazek spisany z opowiadania majstra szewckiego.

—

Ojciec mój był stróżem w jednéj z kamienic warszawskich; matka moja i ja, jedyny syn w domu dopomagaliśmy mu w pracy jego, opędzając jakotako potrzeby życia. Lecz gdy ojciec zaniemógł, umieściliśmy go w szpitalu, gdzie w kilka tygodni oddał Bogu ducha, pozostawiając nas sierotami i bez żadnej pomocy na tym Bożym świecie.

Miałem podówczas około lat czternastu, lubiłem jakoś od dzieciństwa pracę i szczególniejszy czułem pociąg do rzemiosła. Z tego powodu wkrótce po śmierci ojca, matka postanowiła sama udać się do służby, a mnie oddać do szewca. Oporządziwszy mnie tedy o ile mogła, zaprowadziła dnia jednego na Stare-miasto, i tam rozmówiwszy się z dobrze znajomym sobie majstrem, pozostawiła mię u niego. Jako dziecko poraz pierwszy dopiero rozłączające się z poczciwą matką, doznałem po jéj oddaleniu się takiéj tęsknoty i żalu, że kiedy po ojcowskiéj z panem majstrem rozmowie, w któréj mnie zachęcał do pracy, wierności i przywiązania, pozostałem sam w kącie izby, wtedy łzy gorzkie puściły mi się z oczu, i dopiero po dobrem wypłakaniu się jakoś mi ulżyło na sercu.

Najpierwszą osobą, którą mię przy tym żalu powitała, ale sójką wyciętą mi w głowę, był mały chłopak, może o rok starszy odemnie, także terminator. Było to pierwsze moje z nim spotkanie i pierwsza znajomość, nie z powodu wyciętéj mi sójki, na którą nawet nie uważałem, ale jakoś z dziwnego wrażenia, jakie widok tego chłopca z rozczochranemi włosami, posmoloną twarzą i okiem fałszywem sprawił wtedy na mnie: uczułem wstręt do niego.

—Czegoż tak beczysz mazgaju, rzekł do mnie— czy żal ci matuli i ciepłego zapiecka? Nie bój się bratku, damy tu sobie radę, bo we dwóch to nam pójdzie wszystko raźniéj.

Nic mu na to nie odpowiedziałem, a on daléj prowadził:

—Czy myślisz, że tak straszny djabeł, jak go malują? Są uciechy i w terminatorce, a chociaż bębny powrzeszczą i kilka pociegłów spadnie ci za to na plecy, to sobie to wynagrodzisz jedną dotkliwą psotą.

Zupełnie obcy owym zwyczajom u majstra, do którego się dostałem, nic nie rozumiałem tej przemowy Wojtusia, (gdyż tak się nazywał mój rówiennik i od owego dnia towarzysz), on też mało dbał o to, czy ja go pojmuję i dodał:

— Tylko mnie słuchaj, a nie tych starszych półmędrków, a zobaczysz, że wyjdziemy dobrze.

Głos pana majstra przerwał tę pierwszą naukę, jaką mi Wojtuś z zajęciem wykładał, zawołany bowiem do warsztatu, odszedł, a ja zwolna zacząłem się rozpatrywać i oswajać z moim nowym losem.

Po kilku tygodniach mego pobytu, potrafiłem sobie zaskarbić przychylność tak majstra, jak i pani majstrowéj, dobréj, ale prędkiéj nieco kobiety, a nawet czeladzi, którzy dość łaskawie spoglądali na mnie.

Największą jednak plagą moją był Wojtuś. Przeszedł on wszystkich na świecie łotrów, po mimo swojéj młodości. Ani łajania majstrowéj, ani szturchańce czeladzi, ani nakoniec najpotężniejszy organ w tym domu, to jest pociegiel, którego i to zawsze zasłużenie i sprawiedliwie nie żałował na niego p. majster, nic nie pomagało temu zupełnie rozpuszczonemu chłopcu, który na nic nie zważając, brnął coraz daléj w zepsucie, mimo przestróg, gróźb i kary. Pamiętam do-

brze, że pani majstrowa miała swego faworytalnego Maciusia, nadzwyczajnéj wielkości burego kota, którego pieściła jak jakie cacko, dogadzając mu we wszystkiem. Pomimo jednak tych pieszczot, niechciałbym być na jego miejscu, tyle on wycierpiał od tego niegodziwego Wojtusia, nieopuszczającego najmniejszej sposobności, aby mu doskwirzyć i zaleść, jak to mówią, za skórę. Jakakolwiek bowiem i od kogokolwiek spadła nań kara, już Maciuś musiał odpowiedzieć za nią. Ile razy złapał tego kota, zawsze odmuchnął mu włos z boku, i szczypał a bił dotkliwie. Po takiej operacyi kot biegał jak oparzony, a pani majstrowa goniła za nim po całéj izbie, pytając, co się stało jéj biednemu Maciusiowi? Wojtuś siedział wtedy na stołku i zyrkał na mnie okiem, uśmiechając się szyderczo, gdyż nic przedemną nie tail, zapowiedziawszy mi zgóry, że najmniejsza z mojej strony zdrada skończyłaby się na wybiciu mnie gdzie w kącie, lub sójkach, które wybiegłszy na ulicę, z nadzwyczajną wprawą rozdzielał na wszystkie strony pomiędzy swych rówienników, jakich tylko napotkał.

Za wejściem mojem do terminu, ustał jeden obowiązek jego, który mi powierzono z kolei, to jest kołysanie drobnych dzieci majstra. Majstrowa wydziwić się wtedy nie mogła spokojności dzieci, które za dotknięciem się dawniej do kołyski Wojtusia, niemiłosiernie krzyczały. Mnie tylko samemu wiadomą była tajemnica tego, gdyż chłopak chcąc się pozbyć kołysania, szczypał niemiłosiernie dzieciaki, które z bólu krzyczały, nie mogąc uskarżyć się przed matką.

Mała niby rzecz na pozór, ale chłopak ten nie zabił robaka, żeby go pierwéj nie nasadził na szydło, i przez tysiączne nie przepuścił męczarnie. Ileż to razy strofowałem go o to, wyrzucając mu, że nie ma serca, ale słowa moje były niby grochem rzucanym na ścianę, a za całą odpowiedź dostawałem sójkę.

Po kilku miesiącach utraciłem matkę. Odprowadziłem ją na cmentarz Powązkowski, i zrosiłem łzami mogiłę, która jedyną moją na tej ziemi pociechę na wieki zakryła. Wróciłem do domu smutny i rozżalony, lecz tu trafiłem na ogromny rejwach. W tym samym bowiem domu mieszkali gołębiarze, chowając gołębie, któremi prowadzili handel. Czy to z przyczyny niezamknięcia gołębnika, czy z innego powodu, dość, że kilkanaście gołębi wyduszono im tej nocy. Podejrzenie padło na starego Maciusia, i dwóch gołębiarzy naszło mieszkanie pani majstrowej, dopominając się wynagrodzenia za zrządzoną im przez kota szkodę.

Majstrowa widząc mnie wchodzącego, odwołała się do mnie jako świadka, gdyż rzeczywiście byłem wówczas w izbie czeladniej, kiedy ona udając się na spoczynek, zasuwała zwyczajem swoim drzwi, i głaszcząc Maciusia mruczącego na trzonie od komina, życzyła mu dobrej nocy. Dowód więc oczywisty, że Maciuś najniewinniejszy, gdyż przepędził noc pod zamknięciem w izbie na ciepłym kominie, nie zaś w gołębniku. Ale Wojtuś niezadowolony, jak widzę z mojego świadectwa i z załatwienia tej sprawy spokojnie, wyrwał się z oświadczeniem, że wstawszy w nocy i wyjrzawszy oknem, widział przy księżycu Maciusia przechodzącego się po dachu, gdzie właśnie był gołębnik. Gołębiarze tedy chwycili się tych słów i dalej nanowo zawiedli spory, grożąc majstrowej pozwami, w razie odmówienia im wynagrodzenia. Nadszedł i sam p. majster, wytoczyła się sprawa nanowo przed niego, powołano nas obu na świadków; ja byłbym przysiągł za prawdę słów moich, ale złośliwy chłopiec zakrzyczał mnie, upierając się przy swojem i tłumacząc, że jakkolwiek nie powinien przez wzgląd na swoję majstrową, czynić tego wyznania, wszakże ulega sumieniu i wypowiada prawdę. Mnie ogłoszono stronnikiem pani majstrowej, a Wojtusiowi przyznano racyę; pan majster wydobył z szuflady pieniędzy i po długich naradach zagodził tę sprawę.

Był to pierwszy krok, który postawił Wojtusia na strasznie drażliwej stopie względem swoich opiekunów, szczególniej nie mogła mu przebaczyć majstrowa, za którą dziś jeszczebym przysiągł, że zamknęła kota w izbie.

Nic tu jednakże wszystko nie znaczyło w porównaniu z wypadkiem, jaki się zdarzył nazajutrz. Wieczorem majstrowa wyszła po coś do sieni, i nagle wsunęła się do izby. My wszyscy siedzieliśmy przy robocie, i przestraszyliśmy się trwogą majstrowéj. Ale jeszcze nie zdążyliśmy się spytać o przyczynę, gdy majstrowa porwawszy naprędce głownię z komina dla poświecenia, i stanąwszy w progu, krzyknęła: Jezus, Marja!, upuściła głownię, i byłaby padła na zie-

mię, gdyby jeden z czeladzi nie poskoczył ku niej i nie podtrzymał. Majster chwycił za łojówkę i wraz z nami zajrzał do sieni. Cóż ujrzeliśmy? Biedny Maciuś już zesztywniały wisiał na sznurku z łapkami związanemi, ściskając w nich jednego z owych uduszonych gołąbków, o które dnia poprzedniego toczyła się sprawa.

Rozumie się, że wszyscy uderzyli na gołębiarzy, przypisując im ten niecny postępek; ale jakież na to dowody?—a zresztą czyż się nie pogodzili, czyż im nie zapłacił krzywdy p. majster? Myśl więc straszna przesunęła mi się po głowie, spojrzałem na Wojtusia, i nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie wtedy na mnie sprawił. Małe oczy jego błyszczały jak świece tajną radością, a szyderstwo wyglądało z twarzy. Dość było spojrzeć na niego, aby powiedzieć: ty jesteś tym niegodziwym łotrem, który biedne zwierzę powiesił. Lecz nikt na niego nie miał czasu zwracać uwagi, wszyscy zajęli się majstrową.

Długo po tej katastrofie nie mogli przyjść do siebie owi ludzie. Ostatni ten postępek Wojtusia, z którego wieczorem udając się na spoczynek, chlubił się jeszcze przedemną, zanosząc się ze śmiechu z kota powieszonego za gardło i przytulającego, jak mówił, do siebie gołąbka, odstręczył mię zupełnie od niego. Z oburzeniem powstałem na psotnika, ale on mi na to odpowiedział wydobyciem flaszeczki z kieszeni, i łyknięciem z niej wódki, do której zwolna się wkładał, mianowicie zabierając się do spania.

Nie wiem czemu przypisać, ale noc całą nie zmrużyłem oka. Gryzło mię sumienie, że patrząc na te wszystkie postępki chłopaka, który jako młody, mógłby jeszcze być na dobrą nawrócony drogę, taiłem je przed opiekunami jego, i tym sposobem dopomagałem mu niejako do zepsucia coraz dalej i dalej. Zbliżała się wreszcie i spowiedź Wielkanocna; jak tu, pomyślałem stanąć u konfessyonału, będąc świadkiem tylu sprawek tajonych właśnie przed tymi, których Bóg zesłał nam w miejsce rodziców. Ze łzami przeto w oczach wszedłem rano do majstra i wyznałem mu wszystko jak na świętej spowiedzi. Majster słuchał mnie z całą bacznością, widziałem nawet wzrastające na twarzy jego zdziwienie, a gdym skończył, rzekł:

— Słuchaj chłopcze! dobrześ uczynił; ty go nie obwiniasz, ani oskarżasz, ale ratujesz, bo ja dawno uważałem, że chłopak ten nad przepaścią stoi. Idź do roboty, i zostaw to mnie, wiem, co mam czynić w tym razie.

Wyszedłszy od majstra, ujrzałem w czeladniej izbie Wojtusia, który stał przy drzwiach, trzymając parę butów pod pachą, i kiwnął na mnie, abym poszedł za nim.

Dotąd niewiem, dlaczego byłem mu posłuszny i udałem się. Gdyśmy zeszli z jednego piętra, wprowadził mnie w długi ciemny korytarz, gdzie jeszcze nie zdążyłem go zapytać o przyczynę tego, a już leżałem na ziemi, mając na sobie Wojtusia, który chwyciwszy mnie jedną ręką za gardło, drugą bił potężnie, nie przestając wymawiać: A ty lizusie, a ty łotrze, ja tobie ufałem, a ty mną będziesz poniewierał przed majstrem i oskarżał? Masz teraz za swoje—idź, niech ci to odejmą. Rzecz szczególna, że czułem coraz bardziej silne uderzenia, a jednakże nie krzyczałem; zdawało mi się, że chłopiec ten ma słuszność, żem zawinił względem niego jako współrówiennika, zdradzając jego postępki; a jednak Bóg świadkiem, żem to uczynił nie przez żadną zawiść lub złośliwość, ale jedynie dla dobra jego. Widać, że to milczenie zwróciło uwagę Wojtusia, który sądząc, że mnie zadławił jak biednego Maciusia, porwał się nagle, złapał buty, które postawił na korytarzu i zniknął.

Odpocząwszy nieco po takiem starzaniu, powstałem z ziemi, otrząsnąłem się, ugładziłem włosy na głowie, i jak gdyby nigdy nic między naminie zaszło, powróciłem do czeladniej izby.

— Hej! Wojtuś, chodź tu sam, odezwał się głośno pan majster z przyległej izby, ale czeladnik odpowiedział, że go niema, bo poszedł odnieść buty na Miodową ulicę.

— A mówiłem już wam, żebyście mi tego chłopaka nie posyłali z robotą, odrzekł majster, i na tem skończyło się to pierwsze i ostatnie zabieranie się do rozprawy z Wojtusiem.

Mówię ostatnie, bo od owego czasu już w tym domu nie widziałem go więcej. Znikł on jak kamień w wodę, zabrawszy z sobą pieniądze, które za odniesione buty odebrał, i ani słychać już nie było o nim. Ja pozostałem na miejscu, niemając sobie nic do zarzucenia, bom go ani wysadzał, ani nie miałem powodu do tego; wyterminowałem, zostałem czeladnikiem, a gdy oženi-

wszy się dobrze, zakładałem warsztat na swoję rękę, pierwszą moją myślą było, jakimkolwiek sposobem odszukać Wojtusia, wziąć go do siebie na czeladnika, gwałtem poprawić i wykierować na ludzi. Długo jednak poszukiwania moje były próżnemi, i dopiero w lat kilka dowiedziałem się, że skończył—mamże powiedzieć?.. w więzieniu, dokąd dostawszy się, umarł. I dziś jeszcze opowiadając to, zapłaczę nad nim, ale jak moja poczciwa matka mawiała: *Jakie życie, taka śmierć*— przysłowie to zupełnie sprawdziło się na Wojtusiu.

Historya Warszawy.

V. Stan Warszawy od połączenia Mazowsza z Koroną do przeniesienia do niej stolicy z Krakowa. t. j. od 1526-*do* 1596.

Opowiedziawszy w n. 12 Czytelni dzieje Warszawy w powyższym przeciągu czasu, opiszemy teraz wewnętrzny jej stan i wzrost stopniowy.

Już po pogorzeli około r. 1378, Warszawa rozdzieliła się na *Starą* i *Nową*. Oba te miasta po przyłączeniu Mazowsza do Korony polskiej były stolicą wice-króla czyli namiestnika; gdy zaś urząd ten za Stefana Batorego zniesiono, były miejscem przebywania *Wojewody* i *Starosty* Mazowieckiego.

Jużeśmy poprzednio wyjaśnili, iż pierwszy miał zwierzchnią władzę nad miastem i prowincyą, drugi zarządzał administracyą dochodów skarbowych.

Stara i Nowa Warszawa różniły się od siebie. Stara była murowaną, Nowa drewnianą; każda z nich miała swe prawa i urzędy.

Wójci, a potem burmistrze co rok się zmieniali; 20 gminnych z ławnikami obierali 2 kandydatów, z których dopiero starosta burmistrza mianował.

Stare Miasto było opasane podwójnym murem, większym i mniejszym, dwoma wałami i fossami—miało 4 bramy: *Nowomiejską, Krakowską, Boczną* i *Gnojną*, które do wnętrza prowadziły.

W mieście zaś samem, jak w twierdzy, dla bezpieczeństwa od napadu nieprzyjaciół, każdą prawie ulicę zastępował dom narożny do następnego przyległy. Odleglejsze ulice były krzywe, bo domy niekolejno obok siebie budowano. Ulice w Starem-Mieście były brukowane cegłą z czerwonym granitem pomieszaną. Rynek tego miasta był obszerny, lecz zapełniony sklepami i rzemieślnikami; tu odbywał się handel najkosztowniejszych towarów, i tu zamieszkiwali najbogatsi kupcy oraz najzamożniejsza klassa ludności.

W r. 1564 w murach starej Warszawy było ulic 11: Ś. Jana, Grodzka, Krzywe-koło, Piekarska, Piwna, Dunaj, Ś. Marcina (część Piwnej), Żydowska, Nowomiejska, Waliszewo (dziś Mostowa), Freta.

Za wałami zaś na przedmieściach było ulic 9: t. j. Rybitwia, Między Szpichlerzami (dziś Brzozowa), Bernardyńska, Krakowskie-Przedmieście, Śto-Krzyska, Sprzeczna, Długa, Bykowiec (dziś Krakowskie-Przedmieście od strony Wisły), Łazarzowa (dziś część Piwnej).

Domów wszystkich murowanych znajdowało się w starej Warszawie 488.

Nowe miasto po kwięszej części drewniane miało possessyj 204, licząc w to szpichlerze, ogrody i browary, tak w rynku, jak i po ulicach.

Warszawy obie Stara i Nowa w czasie, które opisujemy miały kościołów 10 t. j. Kościół parafialny Śgo Jana, parafialny Śgo Jerzego, Śgo Marcina z klasztorem Augustyanów, Śgo Ducha przy bramie Nowomiejskiéj, parafialny Panny Maryi na Nowem mieście, XX. Bernardynów z klasztorem, parafialny w Ujazdowie przeniesiony z Solca przez Annę Jagielonkę, drewniany Śgo Krzyża ze szpitalem (tu gdzie i dzisiejszy), Śéj Trójcy na polu za Warszawą, gdzie się dziś łączy wprost ulicy Bielańskiéj Długa z Nalewkami—i kaplicę Śgo Krzyża przy ulicy Zakroczymskiéj.

Były też niemniéj w obu Warszawach i szpitale, których liczba wynosiła 5—dwa pod tytułem Śgo Ducha, jeden przy Nowomiejskiej bramie, drugi obok kościoła Panny Maryi—szpital przy kościele Śgo Krzyża na Krakowskiem-Przedmieściu — szpital Śéj Trójcy dla wojskowych, przez Stefana Batorego założony—i Ś. Łazarza przy ulicy Łazarzowéj, gdzie dziś dom nr. 155 przy ul. Dunaj.

Ten ostatni przeznaczony dla ubogich Warszawy był pod szczególną pieczą Biskupów Poznańskich, dochodów zaś pilnowali senior i vice-senior wybierani z Radnych m. Warszawy. Zakład ten wielce użyteczny dla ubogich i chorych można uważać za pierwszy początek Towarzystwa Dobroczynności.

Lecz najważniejszą instytucyą dobroczynną

założoną w r. 1592 było *Bractwo Miłosierdzia Bożego*, na wzór włoskiéj *mons pietatis* (komora potrzebnych) przez X. Piotra Skargę ufundowane, w którem darmo bez procentu udzielano biednym pożyczki na rzeczy ruchome.

Istniały wtedy dwa zamki królewskie, jeden w Warszawie, drugi za miastem w Ujazdowie. W ostatnim za króla Stefana Batorego wspomnianym jest pierwszy raz odegrany d. 12 stycznia 1578 r. teatr, choć musiał być dawniéj tu znany.

Wspominają nadto o 2 szkołach parafialnych umieszczonych przy kościołach, o dwóch ratuszach, i licznych spichrzach, stojących gdzie teraz ulica Brzozowa. W r. 1564 w mieście mieszkało rybaków 80, w roku zaś 1569 było na Wiśle i strugach młynów 86, jatek w mieście 9, blech do bielenia płótna, szlifiernia koło Polkowa, folusze, papiernia i t. p.

Jarmarków w Starem-Mieście odbywało się 3: na Stą Agnieszkę, Wniebowstąpienie Pańskie, Stą Łucyą. Targi w Starem-Mieście odprawiały się we czwartek, w Nowem w poniedziałek.

Za starą Warszawą ciągnęły się wokoło obszerne, lecz błotniste przedmieścia, piękne ogrody i 24 pól miejskich. Inną wtedy była postać owego miasta starożytnego. Wyobraźcie sobie, że w rogu teraźniejszej Sto-Krzyskiéj ulicy, po prawéj stronie rozciągały się obszerne role i pola, rozmaitem poobsiewane zbożem.

Ku Grzybowu zaś stał rozległy folwark z mieszkaniem, do starosty warszawskiego należący, przy samem mieście położony. Dzielił się na 3 pola, dwa urodzajne, a trzecie piaszczyste. Dochód z niego należał do Starosty.

Otaczały nadto Warszawę w owym czasie na około liczne wsie, które następnie w skład miasta weszły; np. ze strony dzisiejszego Nowego-Świata była wieś Kałęczyn, z któréj się potem osobna jurydyka utworzyła. Główna droga, czyli ulica prowadząca do Ujazdowa, była wówczas gościńcem, po bokach którego ciągnęły się pola zbożem pozasiewane.

W miejscach zaś, gdzie dziś ulica Elektoralna, rozciągały się wtedy pola należące do wsi *Wielka-wola*, zaczynając się od miejsca, gdzie dziś Kościół ks. Reformatów; pola te były piaszczyste i niemiłe do przebywania.

Na ulicy Senatorskiej, poczynając od ulicy Miodowej aż do placu przed dzisiejszym ratuszem, były grunta do wójtowstwa starej Warszawy należące, a gdzie dziś Wielki Teatr, stały zabudowania zarządowi wójta poddane. Od połowy dzisiejszej ulicy Długiej były pola, grunta orne i zarośla już poza miastem się rozciągające.

Z drugiej strony Wisły leżała wieś rodziny Praskich, od nich Pragą nazwana, którą w r. 1583 Jan Praski w części zamienił z Janem Zamojskim za Szarogród na Wołyniu.

W ówczesnej Warszawie słynęły już warzelnie piwa i miodu, maliniaków i wiśniaków. Domów gościnnych i oberż jeszcze nie było, lecz podczas sejmów obywatele obowiązanymi byli przyjmować panów, szlachtę i wojsko do swoich mieszkań, a umieszczenie ich należało do władzy Marszałka W. koronnego lub Nadwornego, obu Litewskich i Stanowniczego. Od tych powinności uwalnianemi bywały domy duchownych, lub miejskie niektóre za szczególne zasługi, albo nawet ozdobne wybudowanie się—domy te zwały się *libertowanemi* z łacińskiego języka, co po polsku *uwalnianemi* znaczy, i liczba ich rosła z postępem czasu, tak, iż w r. 1564 było ich w Warszawie 75.

Marszałek W. Koronny lub w nieobecności jego Nadworny, obejmował najwyższą władzę sądową i policyjną podczas pobytu królów i odbywania sejmów—w mieście miał on swe sądy, i instygatorów, pachołków, pisarzy i t. p., a dochody z miasta znaczne, bo różnemi czasy do złp. 300000 dochodzące.

Nie podaje jednak historya z owych czasów żadnych spraw i wypadków gorszących, bo dobre obyczaje i religijność były najlepszą podstawą moralności. Tak np. gdy po śmierci Zygmunta Augusta na polu między Wolą a Powązkami zebrało się do 100,000 szlachty ze służbą, i przeszło 40 dni obozowali, spokojność i porządek w niczem naruszonemi nie były, a Warszawa wystarczyła na wyżywienie tak znacznéj ludności.

Klęski, jakie w owym czasie Warszawę dotknęły, były następujące:

W r. 1544 pogorzało miasto w czasie pobytu króla Zygmunta I z żoną i synową—w roku zaś 1593 ogromna powódź brzegi Wisły i przedmieścia zalała i prawie je poznosiła.

W drukarni J. Unger.— Wolno drukować. Warszawa d. 2 (14) kwietnia 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.